№ 37.

Warszawa dnia $\frac{15}{3}$ Września R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

OD REDAKCJI.

Ponieważ z miesiącem Wrześniem kończy się prenumerata kwartalna Tygodnika dla Warszawy, upraszamy przeto o wczesne we właściwych miejscach zapisy. Pismo nasze i nadal wychodzić będzie w tym samym co dotąd zakresie i pod temiż samemi warunkami. Cena prenumeraty pozostaje ta sama, to jest w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50 — na prowincji zaś półrocznie rs. 3 kop. 75. Za kopertę dopłaca się półrocznie rs. 1.

Jeżeli są prenumerowane inne wydawnictwa w kopercie, w takim razie dopłata oddzielna nie ma miejsca. Upraszamy tylko, o wyraźne wymienianie pisma już w kopercie prenumerowanego, jak również adresu, bo tylko tym sposobem uniknąć można omyłki w przesyłce.

W krótce rozpoczniemy druk powieści dwutomowéj p. t. *Dziedziczka Jodłowca* przez Paulinę Wilkońską napisaną.

J. K. GREGOROWICZ
Redaktor Główny.

Korrespondencja z Lotaryngji.

Gerardmer w górach Wogezów.

Od dawna przywykłam zdawać sprawę czytelniczkom Tygodnika ze wszystkich wycieczek moich: pisałam niegdyś o Czechach i Dalmackim Tryeście, późniéj o południowéj Francji, dziś posyłam kilka słów o Wogezach, zwanych powszechnie Syberją francuzką. Powodem téj nazwy są panujące tu w zimie mrozy i nadzwyczajne śniegi, które zasypują domy aż do okien, na dolinach zaś tworzą zaspy na kilkadziesiąt stóp grube. Jakoż śniegi, mrozy i wypadki jakich co rok stają się powodem, bywają tu głównym przedmiotem rozmowy, nawet podczas krótkotrwałych upałów letnich, tak mocno wyobraźnia mieszkańców jest niemi uderzona. Silniéj jeszcze te opowiadania działają na umysły przyjezdnych gości francuzkich, którym zima znana tak mało. Co do mnie uśmiechałam się słuchając tych *dziwów*, stawały mi bowiem żywo w myśli, małe niegdyś przejażdżki po śniegu, niby utkanym w rubiny i djamenty, przy jaskrawym połysku styczniowego słońca. Towarzysz mój uśmiechał się bardziéj jeszcze, przypominał sobie bowiem przed dwudziestu laty, twardą zimę, gdzie w jego oczach zmarło kilkanaście

par wołów z ludźmi którzy je poganiali, zabłądziwszy na stepie podczas szarugi śnieżnéj.

Dla Francuzów jednak Wogezy prawdziwą są osobliwością. Jest to jakby chłodna oaza wśród obszarów spalonych letnim skwarem. Jakoż w rzeczy saméj wśród najgorętszych nawet dni lata, poranki i wieczory tak tu chłodne, że bez ciepłéj odzieży obejść się niepodobna. Łatwo téż sobie wyobrazić, jak porzuciwszy palący bruk paryzki, miło tu deptać miękką murawę, zaprawną wonią macierzanki, jak po duszącem powietrzu wielkiego miasta, błogo odetchnąć tu orzeźwiającym powiewem gór i żywicznych lasów.

Francuzi a w szczególności Paryżanie, nie zdolni są do życia z samą choćby najcudniejszą przyrodą. Obdarzeni uczuciem piękna lubią oni wspaniałe krajobrazy, lecz te nie mogą na długo im wystarczyć. Nad wszystkie uroki natury, przekładają życie w zgiełku świata, a szmer dowcipnych rozmów, milszy im nad najpiękniejsze wodospady. Ztąd też na wycieczki letnie wybierają oni zwykle uprzywilejowane miejsca, w których skupia się liczne towarzystwo. W górach Wogezów, znajduje się kilka miejsc takich, jak naprzykład Plombieres i Luxneut słynne mineralnemi kąpielami. Osada Gerardmer położona w bliskości owych miejsc, bywa tylko celem jednodniowéj wycieczki dla gości przebywających u wód. Nikomu z Francuzów, a tem mniéj z Francuzek, nie przyszłoby na myśl, żeby je uczynić miejscem kilkotygodniowego pobytu. Że my jednak nie jesteśmy Francuzami, postanowiliśmy wypocząć tu po nużącym zgiełku paryzkim i pobyt na tak zwanéj pustyni wcale nas nie ustrasza. Są pewne usposobienia umysłu w których człowiek wśród otaczającéj go wrzawy zewnętrznéj, czuje się stokroć bardziéj samotnym niźli w obec uroczéj przyrody, gdzie myśl łatwiéj rozwija skrzydła, i wyżéj wybiega w nieskończoność.

Gerardmer zresztą nie zasługuje wcale na nazwę pustyni. Jest to wielka osada złożona z 6000 mieszkańców, zajmujących domki rozrzucone malowniczo po górach na przestrzeni blisko dwumilowéj. Główna część osady leży w głębi doliny przy słynnem jeziorze tegoż nazwiska. Samo jezioro podniesione na 2500 stóp po nad poziom: ta właśnie wysokość jest przyczyną panującego tu ciągle chłodu i owych śnieżnych zamieci o których mówiliśmy powyżéj. We wsi jest piękny i obszerny kościół, są dwa wygodne hotele, liczne składy płótna które stanowi główną gałęź tutejszego przemysłu, szkoły, poczta, szpital pod opieką siostr miłosierdzia, obszerny zakład leczenia wodą, pod dozorem doktora Lubańskiego Polaka i t. p. W około ciągnie się wieniec gór rozmaitéj wysokości zarosłych w górze czarnym lasem, po bokach zaś przystrojonych białemi domkami ślicznie odbijającemi na zielonem tle łąk i ogrodów.

Mieszkańcy tutejsi chlubią się i słusznie położeniem swojéj osady. Gdyby nie Gerardmer a poniekąd i Nancy mówią oni, Lotaryngja nie warta byłaby wspomnienia. Przebaczmy im jednak te przechwałki, ze względu na szlachetną pobudkę, jest nią bowiem przywiązanie do rodzinnego gniazda.

Przed niedawnemi czasy, przystęp do Gerardmer nadzwyczaj był utrudniony dla podróżnych, z powodu niegodziwych dróg przez góry i głębokie parowy. Dziś przecież Wogezy równie jak wszystkie zakąty Francji, pochlubić się mogą wyborną bitą drogą nie grożącą najmniejszem niebezpieczeństwem. O ile jednak droga nic już nie przedstawia do życzenia, o tyle znów tutejsze pocztowe powozy niewygodne dla najwyrozumialszych nawet i najmniéj wybrednych podróżników. Nigdy nie zapomnę trzymilowéj przeprawy mojéj z miasteczka Remiremont do Gerardmer. Z niesłychaną trudnością wgramoliłam się po krześle do przedniéj części dyliżansu zwanéj *coupé*, która uchodzi zwykle za najlepszą. Wcale tu nie ma drzwiczek, a głębokość tak wielka, że potrzeba mieć nadzwyczaj długie nogi, aby sięgnąć do dna powozu. Wsiadłszy jednak raz i wyruszywszy w drogę pełną malowniczych obrazów, zapomina się łatwo o przebytych trudnościach. Doświadczyłam tego na sobie. Oprócz mnie i towarzysza mego, jechał w coupé nieznajomy Francuz już nie młody, ale zapalony miłośnik pięknych widoków. Gdyśmy ujechali zaledwie pół mili, ów Francuz zapytuje mnie czy pozwolę na to aby się zatrzymać w pobliskim lesie, dla zwiedzenia bardzo pięknéj kaskady, oddalonéj od drogi o parę kilometrów. Zgodziłam się jak najchętniéj: inni podróżni mimo protestacji konduktora okazali równą powolność. Już w myśli cieszyłam się że zobaczę szumiący wodotrysk, gdy nagle powóz zatrzymał się w danem miejsuu, a ja przypomniałam sobie że bez krzesła nie potrafię w żaden sposób wysiąść. Ponieważ zaś krzesła nie było w lesie, musiałam więc rada nie rada zabawić się książką i wysłuchać monologu protestującego wciąż konduktora, podczas gdy inni podróżni lepiéj odemnie obznajmieni z gimnastyką, podziwiali wspaniałą kaskadę.

Gdyśmy ruszyli daléj, nasz Francuz wdał się z nami w długą rozmowę. Był to Markiz de... zamieszkały w Lyonie, stary legitymista i wielki zwolennik konserwatyzmu. Towarzysz mój, sądząc z poważnéj postawy wziął go za profesora, rozpoczął więc naukową rozprawę o Ethnografii, do czego nastręczały gotowego przedmiotu, niemieckie fizjonomie ludu lotaryńskiego. Francuz słuchał z całą uwagą; znać że wyraz Ethnografija, po raz pierwszy potrącił jego ucho; pilnie też zastanawiał się nad jego znaczeniem. W końcu przypomniał sobie Etnę w Sycylji o któréj uczył się niegdyś w szkole i kombinując rzeczy coraz daléj, ułożył sobie że Ethnografja, musi być nauką o Wulkanach. Kilka słów jego niewłaściwie wtrąconych do rozmowy i zdziwiona mina towarzysza mego, który przez pół godziny podnosił najwyższe prawdy naukowe, rzucając groch na ścianę, wszystko to rozśmieszyło mnie w dziwny sposób. Drobna ta okoliczność słabe mi dała wyobrażenie o intellektualnem wykształceniu legitymistów, z dalszego bowiem toku rozmowy dowiedziałam się, że nasz nieznajomy był markizem, że chorując na spleen, a raczéj na pańskie nudy, szuka wrażeń w pięknych widokach, i chce popróbować wodnéj kuracji w Gerardmer.

Po trzygodzinnéj podróży wśród kwiecistych łąk i nieprzedartych okiem świerkowych lasów, jadąc ciągle pod górę, ujrzeliśmy nakoniec prześliczne jezioro a za niem wielką wieś z kościołem. Czerwone dachy i białe ściany domów, pięknie odbijały na zielonem tle łąki. Była to wieś Gerardmer. Powóz stanął przed porządnym i obszernym hotelem; poprosiłam o krzesło, ale gospodarz olbrzymiego wzrostu rad jak widać z przybycia nowych gości, podsunął się zręcz-

nie, wyniósł mnie z powozu, i zanim się spostrzegłam postawił u progu domu swego. Tak gościnne przyjęcie, dostateczną było dla nas pobudką do osiedlenia się na cały miesiąc w wygodnem hotelu Wogezów, czegośmy bynajmniéj nie żałowali.

Nazajutrz przypadała Niedziela, odgłos dzwonów od samego rana wzywał pobożny lud do modlitwy. O dziewiątéj poszliśmy za innemi na summę, kościół w Gerardmer nie może się pochlubić ani szczególnie piękną architekturą, ani żadnem arcydziełem sztuki, cała jego zaleta że obszerny, widny i nadzwyczaj starannie utrzymany. Lud tutejszy odznacza się głęboką pobożnością, poznałam to od razu z pełnéj skupienia postawy modlących się tak mężczyzn jak i kobiet. Słowa plebana wyrzeczone z ambony, potwierdziły mnie w tem mniemaniu. Pleban ten który przed miesiącem zaledwie objął tu probostwo po zmarłym kapłanie, wstąpiwszy na ambonę dziękował Bogu że go postawił jako pasterza nad ludem tak poczciwym i bogobojnym.

Jakoż w rzeczy saméj wielka poczciwość połączona z prostotą, maluje się w rysach tak mężczyzn jak kobiet tutejszych. Oblicza te nie celują szczególną urodą, dziewczęta nawet pozbawione krasy właściwéj młodemu wiekowi, wszakże w tych zatartych i nieznaczących rysach dziwny odbija spokój i niezmącona zgoda z losem jaki im przypadł z wyroków Opatrzności. Oczy ich powszechnie siwe lub szare, włosy bląd cera ogorzała lubo nie śniada, wzrost dosyć wysoki, u mężczyzn szczególniéj nogie długie jak u naszych górali karpackich, o których mówią pieśni sąsiednich krakowiaków:

Góral ma nogi bocianie,
Kędy zechce, tam dostanie,

Lecz ta jedynie cecha zbliża górali Wogezkich do hożych i wysmukłych mieszkańców naszych Karpat, rysy ich za to zupełnie oddmienne. Wogezanie wyglądają na Niemców w całem znaczeniu tego słowa. Cecha ta szczególniéj uderza w zaostrzonych rysach starych mężczyzn i kobiet. Jakoż tutejsza ludność jest z pochodzenia germańską. Są to niewątpliwie przybysze z po za Renu zapędzeni burzą wojenną w te niedostępne niegdyś góry. Z biegiem wieków przepomnieli oni mowy rodowitéj i przyjęli narzecze sąsiednich plemion, dla łatwiejszego z niemi porozumienia, lecz nie zrzucili z siebie skóry niemieckiéj która po dziś dzień wymownie świadczy o ich pierwotnem pochodzeniu.

Ubiór ludu tutejszego zupełnie też odpowiada spokojnéj i skromnéj postawie. U żadnéj kobiety nie dostrzegłam wstążki ani chustki jaskrawego koloru; wszystkie odziane w suknie merynosowe czarne albo brunatne, w czarne opięte chustki sięgające ledwie stanu, w czepeczki gładkie tiulowe lub muślinowe, garnirowane lekko, ściągnięte i związane z przodu na białą tasiemkę. Uboższe noszą okrągłe czepeczki perkalowe bez garnirunku, jakie widujemy u szwabek w kraju naszym. Młode dziewczęta zaczesują włosy gładko, zapinają na grzebień, sukienka ich równie szara i niepozorna, nie dopatrzyć w żadnéj najmniejszego śladu zalotności. Ubranie mężczyzn nosi również niemieckie piętno: odzież ich stanowi zwykle oliwkowy frak manszestrowy, o szerokich i długich połach. Zacząwszy od małych chłopców aż do starców wszyscy noszą złote lub tombakowe kolczyki. Zdaje się że moda w tych górach nie musi ulegać częstym przemianom i że mieszkańcy tutejsi ubierają się tak samo, jak niegdyś ich ojcowie i naddziady.

Poczciwy ten lud, w niczem nie zapomina przeszłości przechowuje on święcie pamięć zmarłych rodziców krewnych i sąsiadów, a pełen religijnéj wiary, żyje z niemi wspomnieniem i miłością, choć śmierć stargała od dawna węzły pokrewieństwa lub przyjaźni. Podczas czterotygodniowego pobytu mego w Gerardmer, ani jeden dzień nie obszedł się bez nabożeństwa za umarłych, a ksiądz pleban, co niedziela zapowiadał z ambony długi szereg żałobnych mszy, jakie przypadały na bieżący tydzień. Na jedną mszę za każdego nieboszczyka, zapraszali zwykle krewni lub dzieci; na drugą sąsiedzi i przyjaciele. Zdarzyło się też podczas pobytu mego kilka pogrzebów wiejskich; każdy z nich odbył się z wielką stosunkowo uroczystością. Sąsiedzi nieśli na noszach trumnę pokrytą całunem; w orszaku postępowało liczne grono tak mężczyzn jak i kobiet ubranych czarno od stóp aż do głowy.

Zacność charakteru Wogezanów do wysokiego dochodzi stopnia, co świadczy wymownie, że oświata nie psuje ale raczéj podnosi ludzi pod względem moralnym. Z pomiędzy departamentów francuzkich, Wogezki należą do tych, w których liczba czytających i piszących największa. W czasie pobytu mego odbył się tu jarmark wiejski. Otóż w liczbie kilkudziesięciu kramików z odzieżą i różnemi przedmiotami do użytku domowego, naliczyłam sześć w których sprzedawano same tylko książki i obrazki. Książek do nabożeństwa było ma się rozumieć najwięcéj; cena ich bajecznie tania, niektóre z porządną oprawą, kosztowały ledwie sześć sous od 15 do 20 groszy polskich. Z pomiędzy innych książek uważałam rycerskie epopeje z czasów Karola Wielkiego, opowiadane w sposób dostępny. Były tam oprócz tego senniki, wróżby, rady dla dziewcząt idących za mąż i dla żeniącéj się młodzieży, powiastki z życia ludu i t. p. Z pomiędzy obrazków kolorowanych zwróciły uwagę moją wizerunki świętych, a mianowicie św. Sigisberta niegdyś panującego księcia a dziś patrona Lotaryngji. Z innych światowéj treści, pierwsze miejsce zajmowały wizerunek cesarza Napoleona, cesarzowéj Eugenji i następcy tronu. Jeden z tych wyobrażał cesarzowę w szpitalu paryzkim, przy śmiertelnem łożu cholerycznego. Inne znów obrazki przedstawiały sceny z życia ludu a głównie przygody młodego rekruta, który wyciągnął numer przy losowaniu. Na jednym widzimy jak podskakuje wesoło w gronie przyjaciół, przystrojony w kwiaty i wstęgi, na drugim żegna zapłakaną kochankę i przysięga jéj stałą miłość. Tam odbiera błogosławieństwo starych rodziców, tu znów powraca do wioski w zużytym mundurze, z krzyżem na piersiach; wita radośnie tych których żegnał przed kilku laty, a przy których rozpocznie znowu cichy i pracowity żywot.

Tradycyjna poczciwość tutejszych górali przechodzi z pokolenia na pokolenie Pomimo wysokich gór ciemnych zarośli i głębokich parowów, nie było tu przykładu żadnéj zbrodni jak sięgnie pamięć ludzka. Lud nawet nie zachował podań o żadnym *Janosiku* ani *Doboszu*, jak nasi Podhalanie i Huculy. Tutej-

szy lud zajęty tkactwem, paseniem bydła po górach, i wyrobem sławnych serów *Geromé*, pracuje w pocie czoła na chleb, ale nie zazdrości nikomu lepszéj doli, nie pożąda cudzego mienia. Drobna okoliczność przekonała mnie o nadzwyczajnéj rzetelności tego zacnego ludu, posunięty prawie do przesady. Poszliśmy raz do lasu na przechadzkę; towarzysz mój wstąpił do ubogiéj chaty i prosił o szklankę mleka. Gospodyni wyniosła z domu parę stołków, podała mleko, i bochenek chleba pszennego. Posiliwszy się zapytaliśmy ile się jéj należy.

— Co łaska odrzekła kobieta.

Daliśmy pół franka, gospodyni pokręciła głową z uśmiechem.

— Mnie się tyle nie należy, odrzekła po chwili, ja krzywdzić tak państwa nie mogę.

— Nie mamy drobnych moja matko, odezwałam się na to. Weźcie pieniądz, jeżeliśmy dali za wiele, przyjdziemy znów kiedy na szklankę mleka.

— Państwo mogą wyjechać odparła, a ja nie powinnam brać więcéj niż się godzi.

To rzekłszy pobiegła do chaty i oddała mi kilka sous, które musiałam przyjąć aby nie ubliżyć jéj godności.

Jedyną wadą tego poczciwego ludu jest nadużycie wódki. Czytałam wiele utyskiwań na pijaństwo w książkach opisujących lud Wogezki, przyznać jednakże muszę, iż przez ciąg pobytu mego w tych górach nie widziałam więcéj nad dwóch lub trzech taczających się po drodze pijaków. Może być że w czasie mrozów zimowych dochodzących tu niekiedy do dwudziestu centigradów, potrzeba ogrzania się wewnątrz trunkiem, doprowadza do nadużycia. Zdaje się jednak że postęp oświaty sprowadziły już pamiętny zwrot w tym względzie.

Lud ten kocha całem sercem swoje jałowe góry i rzadko się zdarza, aby chęć zarobku wywiodła go w świat, po za rodzinną strzechę. Fryzjer tutejszy czyli po prostu golibroda, opowiadał nam jak będąc młodym zapragnął koniecznie poznać inne strony i nowych ludzi.

— Uciułałem mówił on trochę grosza, umyśliłem bądź co bądź zobaczyć ów Paryż o którym nasłuchałem się tyle dziwów. Otóż razu jednego, z kijem w ręku i podróżnym tłomoczkiem na plecach, wyruszyłem piechotą do Nancy szczęśliwy jakby mnie kto na sto koni wsadził. W Nancy obejrzałem grób dobrego króla Stanisława i królowéj, poczem wsiadłem na pociąg i pospieszyłem do Paryża.

Przyjechałem późno wieczorem, nazajutrz wyszedłem żeby się rozpatrzyć po mieście; otóż w tym strasznym zbiegowisku ludzi wśród których darmo szukałem choćby jednéj twarzy znajoméj, tak dziwna tęsknota ścisnęła mi serce, że nie mogąc sobie dać rady rozbeczałem się jak dzieciuch. Największe gmachy małe mi się wydały, gdy je w myśli porównałem do naszych gór sięgających pod niebo. Jakoż tego samego dnia przed wieczorem wyruszyłem na powrót i nie oparłem się jak w tych górach, straciwszy darmo kilkadziesiąt krwawo zapracowanych franków. Nie żal mi jednak tych zmarnowanych pieniędzy, bo od téj pory wybiłem sobie z głowy niepotrzebną włóczęgę i nabyłem doświadczenia, że człowiek szczęśliwy tylko w domu pomiędzy swemi.

Otóż to prawdziwy typ Lotaryngskiego górala. Dodam tu jeszcze uwagę że tak samo jak Lotaryngja tak i inne prowincje składające Francją zachowały właściwe sobie typy. Myli się bardzo ten, kto obejrzawszy z wierzchu Paryż sądzi że poznał Francuzów. Na wsi to głównie pod strzechą kmiecą, przy ognisku górala, winiarza lub rolnika, potrzeba się wsłuchać w uderzenia serca tego ludu, aby zrozumieć jego prawdziwą wartość.

S. z Ż. D.

Pogadanka Tygodniowa

Arcybiskup Krasicki znany powszechnie z dowcipu i wybornego humoru, miał w przybocznéj swéj kancelarji sekretarza Jana Krasickiego blizko z sobą pokrewnionego, który pilnie zajęty obowiązkami sprawowanego urzędu, zawsze milczący i ponury, nie lubił się wdawać w żadne gawędy, a szczególniéj nieznosił większych towarzystw, i jak tylko znalazł sposobność, chyłkiem wynosił się do swojéj stancyjki.

Gniewało to Krasickiego, ale że krewniak był bardzo zacnym i pracowitym młodzianem, po bezskutecznych usiłowaniach utrzymania go w większych zgromadzeniach, zostawił go wreszcie w spokoju i przez szpary patrzył na to odludztwo. Raz poeta strofując go wyrzekł:

— Być może że kiedy wymyślisz nowy proch, lub nową wiarę, ale że nie stworzysz najmniejszego dowcipu, to tegom pewny jak dwa a dwa cztery.

Jaś nic na to nie odrzekł, pocałował tylko wuja w rękę i czmychnął jak zwykle do swojéj pracowni. W jakiś czas był suty objad u Arcybiskupa, salony zapełniły się dygnitarzami świeckiemi i duchownemi, Jaś przekładając głód nawet nad tak gwarne zgromadzenie, przyczaił się w izdebce i pomimo wyraźnego zaproszenia nie dał się namówić do przyjścia na pokoje. W czasie objadu przy samym końcu, Krasicki przypomniał sobie krewniaka, pozostałego więc jedynego karasia kazał mu zanieść, a że był szczególnie

w dobrym humorze, dołożył do potrawy czterowiersz napisany naprędce:

Dla odludka Jasia,
Posełam karasia,
Jedz go bez szkody,
I napij się wody.

Jaś głodny, dar przyjął z przyjemnością i przesłał następujące podziękowanie.

Za karasia na półmisku,
Dziękuję Arcybisku.....

— Co u licha! a gdzie koniec mego tytułu? — zapytał poeta cokolwiek rozgniewany i odwracając się do kamerdynera, dodał: — powiedz mu, że ja nie pasztet, żeby mnie przekraiwał na dwie połowy.

W chwilę potem Jaś odpisał:

Wtedy cały tytuł skryślę,
Jak mi wujo wina przyśle.

Uśmiał się poeta serdecznie, a gdy za posłane wino, trzeba się było z obowiązania wywiązać, odebrał od siostrzeńca następującą odpowiedź:

Nie z szykany lub dla zysku,
Za karasia na półmisku,
Składając podziękowanie,
Urwałem tytułowanie,
Bo wiem że rym,
To w wierszach prym.
Ale co łatwe Arcybiskupowi,
To nie takiemu jak ja odludkowi,
Tymbardziéj gdy dla ochłody,
Kazano się napić wody.
Niech więc łaska wuja daléj mnie zaszczyca,
Bo woda dla gęsi, wino dla szlachcica.

Przy widzeniu z krewniakiem Krasicki rzekł śmiejąc się:

— Wiesz Jasiu żeś mi zrobił niespodziankę, o jakiéj nawet nie marzyłem. Taki dowcip —no—no.....

— Niech wasza ekscelencja raczy pamiętać, żem Krasicki z ojca, a rodzi mnie Mędrzecka, to choćbym nie chciał muszę czasem wyrzec niegłupie słowo.

Co się stało z owym Jasiem, tradycya milczy, widać że nie został orłem i nie wyleciał z gniazda po nad obłoki.

Opowiadanie to przyszło mi do myśli, przy przeglądaniu wierszy na karmelkach, które przez jakiś czas zagubione, znowu na wierzch w nowéj wylazły edycji. Mieszczą się tam rady dosyć zabawne, sentencje moralne z pewną dozą pochlebstwa, zdania bez sensu i sensy naciągane dla rymu. Jeden np. powiada:

Choć mi dajesz cukierki, ciasta czokolady,
Nie lubię cię dlatego, żeś zanadto blady.

Drugi z bąkiem drukarskim zdaje się być ukuty przez samego fabrykanta:

Chciałbym wiedzieć co *mislisz*, lecz chęć nic nie nada,
Kiedyś nieodgadniona dla wszystkich szarada.

Trzeci jest pewnym rodzajem wymówki, powiada bowiem:

Stroisz ze mnie żarty,
Boś kozioł uparty.

Czwarty zupełnie nierozpaczliwy, daje do zrozumienia, że autor w łeb sobie nie palnie, powiada bowiem:

Oj! Kasiu nie bądź sroga,
Bo do innych krótsza droga.

Piąty jest przygryzkiem dla młodzieży, ale nie od panny tylko od butelki, bo opiewa:

Dla majątku młodzian wszelki,
Gotów odbiedz i butelki.

Ostatni wreszcie ukuty świeżo, bo wspomina o wodzie sodowéj, jakiéj dawniéj zupełnie nie używano:

Woda z sodą dla ochłody,
Ciasta cukry, dla urody,
A że Janek jest baranek,
Więc grochowy weźmie wianek.

Zakończenie wcale niezłe, bo baranki prześlicznie wyglądają, ale tylko przy wielkanocnéj zastawie.

Zwyczaj mieszczenia wierszy na karmelkach, dawniéj w powszechnem będący użyciu, dziś zupełnie zatracony został. Że giną nędzne wierszydła, żałować nie ma czego, ale kto wie czyby to nie było dobrze, gdyby lichotę zastąpiły zdania zręczniéj i mądrzéj ułożone? Nie jest to rzecz łatwa jak się zdaje; dowcip prawdziwy, wymaga warunków nie od nas zależnych. Krzycz, wrzeszcz jak czajka, powiada Krasicki, a nie przyjdzie bajka, cóż dopiero dowcip zamknięty w tak małéj formie? Czyby więc owe napisy karmelkowe, nie dały się jak na dziś przynajmniéj, zastąpić wyjątkami z naszych pisarzy i poetów, bo i proza mogłaby tu być użytą? Niejeden lub niejedna, możeby się dopiero tym sposobem dowiedzieli o naszych gwiazdach literackiego parnasu, i zachęcone poznanym wyjątkiem, starali się bliżéj obznajmić z pracami, przynoszącemi zaszczyt krajowi. Jestem przekonany, że karmelki w ten sposób ozdobione, miałyby wielkie powodzenie. W każdym razie sprobować warto, wydatek na to niewielki.

Jako w ciągu dalszym przeglądu literatury karmelkowéj, należy się tu miejsce małéj broszurce wydrukowanéj świeżo niewiadomo gdzie i przez kogo, a opatrzonéj następującym tytułem:

Wykład snów nocnych dowcipnemu czytelnikowi dla uspokojenia się w zamysłach jego z siedmiu planet i z dwunastu znamion niebieskich prognostyk alfabetycznie sporządzony.

Sam tytuł wybornie świadczy o wewnętrznéj rzeczy wartości, która widocznie z cudzoziemskich andron ułożona, należy do wydawnictw zeszłowiecznych, na nowo przedrukowanych. Autor w proroctwach szczególniéj miał na względzie, zysk, urząd, bogactwo, cześć i niedostatek.

Połowa niemal widziadeł sennych, ma być zwiastunami tych czterech towarzyszy życia ludzkiego, ułożonych często tak dziwacznie, że palma pierwszeństwa słusznie autorowi przynależy. Że widzieć np. brzuch dziurawy albo próżny, to ma niedostatek lub szkodę znamionować; że droga błotna smutek oznacza, panna wesele, picie wina dobrego radość, mętnego smutek, wody ciepłéj żałość, to są rzeczy łatwe do wytłumaczenia. Ale dla czego, długie dynie, melony, koń o dwóch nogach, odzienie czerwone lub zielone, pieczeń ze słonia, gonienie sokoła, włosy siwe, mają być zwiastunami urzędu? Dla czego mleko dzikiéj oślicy pite przez sen ma pomyślność znamionować, głowa z wielkiemi uszami moc wielką, prześladowa-

nie jelenia dobro, imbier, ból oczu, jaja pieczone stratę, mąka jęczmienna bogactwo, marchew niemoc, osioł biały złoto, słoń mienie, wieprzowina ubogacenie, to tego już nikt pewno nieodgadnie. Przytem autor widocznym jest nieprzyjacielem małżeństwa, powiada bowiem że koronowanie przez sen żony, niemoc wielką znamionuje, żenienie się szkodę, a zakochanie nieukojoną tęsknotę. Pomiędzy innemi wróży jeszcze, że widzieć przez sen wiele wschodów i chodzić po nich, oznacza pomieszanie rozumu. Widocznie autor musiał tego przyśnienia często doświadczać.

W opisie siedmiu planet równie potworne znajdują się przepowiednie. Urodzony np. w niedzielę ma moc we wszystkiem, w ciele, w sercu, w morzu, w prawem oku, będzie mowny, mądry, smutny, cudny, łysy, długich włosów, białych oczu, wielkiego czoła, małego głosu i będzie żyć lat 32.

Poniedziałek jest niewieście szczęście, rządzi żołądkiem, lewą stroną ciała, w nocy prawem okiem, lewem w dzień. Urodzony w dzień ten, będzie wielki, czerwony, sprawiedliwy, czysty, okrągły, cudnéj brody, żyć będzie lat 89.

Wtorek rządzi prawem uchem, kto się w nim narodzi, będzie łgarz, łotr, złodziéj, możny, oczu czerwonych, głowy czarnéj, na obliczu o wielkiem oku, płuców ostrych, żyć będzie lat 83.

Środa dla dobrego jest dobrą, dla złego złą.

Czwartek daje moc w sercu i w wątrobie, nos długi, cudne oblicze i włosy kryspowate.

Piątek daje moc lewemu uchu i władnie wątrobą a rządzi kantory, śpiewaki, trębacze, malarze.

Sobota ma moc w piętach i w śledzionie, a w odciskach rozum wszelki. Urodzony w nią będzie śmiały a tajemny, trwożny, blady, suchy, i nie zupełnego oka, krzywych zębów i nóg jak gicały. Chociaż pleczysty będzie znajomy u króla i panów wielkich, ma unikać człowieka z zielonemi oczami, w nocy nie pić wody i nie łazić wysoko, bo może kark skręcić.

Podobnych andron mógłbym Wam jeszcze trzy razy tyle przytoczyć, ale i tego dosyć, do zrozumienia osnowy mądrego snów wykładu. A jednak broszurki takie w tysiącach egzemplarzy rozchodzą się po świecie, na każdym straganie spotkać się z niemi można, grabiące gros. tak skąpo u nas na książki wydawany. Pominąwszy wydatek, ileż to powstaje obałamucenia umysłu, zabicia tyle drogiego czasu. Nieuczciwa podobna spekulacja, jest grzechem przeciw ogólnemu dobru, bo wyzyskiwaniem głupoty, i utrzymywaniem jéj w jednym zawsze stanie. Niszczyć, walczyć przeciw niéj, należy do obowiązków każdego, czem jeśli się sami nie zajmiemy, to któż to zrobi?

KRONIKA LITERACKA.

Wyszedł tom piąty Pamiętnika Naukowego i zawiera w sobie następujące artykuły:

1. Rzut oka na dzieje Bulgarskie, przez J. Papłońskiego prof. Szkoły Głównéj. Ciekawa to bardzo praca, Bulgarowie bowiem są przybysze należący do ludów znanych pod nazwiskiem Turanów, którzy ujarzmiwszy miejscowy lud Słowiański, przyjęli jego język a swój zupełnie zatracili. Dawna jednak dzikość koczownicza nie tak się prędko zagubia, i choć już wieki minęły, dwa prądy cywilizacyjne zupełnie przeciwne sobie, miejscowy i przybyszowy, nie zlały się tak z sobą, aby zupełną jedność utworzyły.

2. Stany Zjednoczone w roku 1861 przez Fischa tłumaczenie Emilji Leja. Autor przedstawia nową tę społeczność, pod względem rozwoju politycznego i religijnego. W pozornym chaosie krzyżujących się wyobrażeń, jaśnieje w całéj pełni, postęp pojęć niczem nie wstrzymywanych, które otrząsając się z fałszu i przesady, idą ciągle naprzód ku dobru, ku prawdzie.

3. Natan mędrzec, dramat Lewinga, tłumaczenie Z. Komarnickiego zaleca się szczególniéj wiernym przekładem stanowiącym piękny nabytek dla naszéj literatury. Prac podobnych tak sumiennie dokonanych pragnęlibyśmy jak najwięcéj, żadne jednak z pism perjodycznych wzmianki o niéj najmniejszéj nie zrobiło.

4. Pogląd na perjodyczne piśmiennictwo: Przegląd tygodniowy p. A. Wiślickiego — trzy kurjery, Warszawski, Codzienny i Świąteczny — Gazety Warszawska i Polska. Dział ten krytyczny, który pierwszy zaprowadził Pamiętnik naukowy, stanowi prawdziwą jego zasługę. Dotąd tylko tygodniowe pisma czasami brane były za przedmiot krytyki, i to zwykle nadzwyczaj pobieżnie, za uproszeniem redakcji któréj z Gazet, aby dany sobie artykuł raczyła wydrukować. Barwiły się też albo napaścią, albo nudną przesadzoną pochwałą, raz tylko Gazeta Polska pomieściła sumienny rozbiór Tygodnika illustrowanego i Kłosów przez pana Augusta Jeske dokonany, zapowiadając dalszą krytykę pism wszystkich perjodycznych, ale ta się wcale już nie pokazała. Gazety zaś zupełnie wyłączone były z pod krytyki, bo i gdzież ją miano pomieścić. Tygodniki wszelkiego rodzaju, z codziennemi pismami waśnić się nie chciały, Bibljoteka zaś Warszawska pomimo niezaprzeczonéj swéj wartości dział krytyczny nigdy jak należy nie miała rozwinięty. Pamiętnik więc naukowy pierwszy odważył się odezwać o Gazetach publicznie z powagą i sumiennością godną siebie i wydawnictw stojących na czele innych. Autor w pracy téj widocznie niezależny, wolny od wszelkiéj osobistości, wypowiada prawdę z całem przejęciem się ważnością swego zadania, dla tego dalszego ciągu z upragnieniem wyglądamy.

5. Filozofia medycyny przez Dra E. Aubera. Artykuł ten zawiera tylko wstęp, uwagi ogólne i założenie, obszerniejszą więc o nim wzmiankę później pomieściemy.

6. O tłumaczeniu w ogólności, a mianowicie poetów starożytnych. Ocenienie trzech tłumaczeń Iljady Homera na język polski przez F. S. Dmochowskiego. Po przedwstępnych uwagach, nad warunkami składającemi się na dobre tłumaczenie, autor dla porównania daje wyjątek z pożegnania Hektora z Andromachą w przekładzie dosłownym z greckiego wiersz w wiersz prawie wyraz w wyraz dokonanym przez p. J. B. Następnie pomieszcza tłómaczenia tego ustępu dopełnione przez Dmochowskiego, Jacka Przybylskiego i Staszica, wykazując gdzie co dodano albo opuszczono. Doskonały to sposób przedstawiania praw-

dziwéj zasługi, tymbardziéj dla dzisiejszego pokolenia zapatrującego się z pewnem lekceważeniem na dawne utwory. Oprócz tego czytelnik, sąd o rzeczy traktowanéj sam w sobie wyrabia, uwagi bowiem pomieszczone są więcéj wskazówką na co przy czytaniu głównie zważać należy.

Numer 7 i 8 obejmuje urywki naukowe: o wapieniu formacji permskiéj w Kajetanowie pomiędzy Kielcami a Suchedniowem przez Z. Najnowsze odkrycia i wynalazki zebrane przez Dra Wojnarowskiego o rzeczach niepotrzebnych jednak użytecznych.

O UBIORACH

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

Obecna pora najwięcéj przedstawia trudnosci w tygodniowych sprawozdaniach naszych, wszystko zużyte już i wyczerpane, nowości zaś jesienne ukrywają się starannie po magazynach. Żurnale nawet francuzkie zbywają czytelniczki swoje opisami letnich strojów, zapowiadając na późniéj wzory cieplejszych okrywek i sukien. I my też wkrótce powiemy obszernie o nowych modach, dziś zaś opiszemy niektóre przedmioty jesienne, jakie nam się widzieć zdarzyło.

Moda waży się jeszcze co do długości sukien: w ogóle jednak powiedzieć można, że do ubrania na objad proszony lub na wieczór, przyjęte powłóczyste z długim ogonem, na rano zaś, na ulicę i do codziennego ubrania krótkie suknie ledwie sięgające ziemi coraz się więcéj upowszechniają. Niektóre przecież osoby noszą jeszcze na ulicy długie suknie podpinane na klapki lub też ściągane na sznurki.

Z wełnianych wyrobów uważaliśmy tkaninę *chinée* w dwóch kolorach, zazwyczaj z czarnym, podobną do *knikerbokeru*, ale znacznie cieńszą i delikatniejszą. Niekiedy na tejże tkaninie przerabiane są wielkie muchy jedwabne odpowiedniego koloru. Zwróciła uwagę naszą taka suknia popielata mieniona z czarnem w fijołkowe muchy. Na spód szła spódniczka fijołkowa wełniana wycięta u dołu w gotyckie zęby, objęte sznurem wełnianym, popielatym i czarnym. Wierzchnia spódniczka popielata krótsza na ćwierć łokcia, miała u dołu takież zęby naszyte fijołkowym wełnianym sznurem. Bryty ścinane były w kliny, na każdym szwie przechodził sznur fijołkowy. Miejsce stanika zastępowała koszulka fijołkowa, takaż sama jak spódniczka, naszyta z przodu i u rękawów popielatym sznurem, spięta na popielate oksydowane guziki. Na koszulkę szedł krótki paletocik popielaty bez rękawów, wycięty u dołu w zęby. Od ramion spadały epolety złożone z takichże zębów. Paletocik spinał się na guziki szmuklerskie fijołkowe.

Do strojnego ubrania widzieliśmy suknię jedwabną szafirową podpinaną na każdym brycie w festony, ukrytemi z pod spodu haftkami. Sznur szafirowy jedwabny zakończał u dołu spódnicę. Pod nią była spódniczka czarna jedwabna obszyta nad obrębem pasmanterją przerabianą pacioreczkami z lawy. Stanik gładki szafirowy, z wązkiemi rękawami, spinał się na rząd guzików szmuklerskich. Na to szedł paletocik czarny jedwabny wolny bez rękawów, zasiany cały drobnemi czarnemi pacioreczkami. Kapelusik krepowy szafirowy dopełniał całego ubrania.

Do modnych kolorów tegorocznych należy tak zwany *Sang de boeuf*, albo morderowy. Kolor ten bardzo przypada do twarzy i przekładamy go nad pąsowy do dziennego ubrania, gdyż nie tak bije w oczy.

Widzieliśmy na spódniczce *Sang de boeuf*, suknię popielatą wełnianą, krótszą na ćwierć łokcia, zakończoną u dołu w okrągłe mocno wcięte zęby. Miejsce stanika zastępował popielaty paletocik bez rękawów, spięty na szmuklerskie guziki. Z pod paletocika wyglądały rękawy od koszulki, koloru *Sang de boeuf*, z epoletem i mankietem popielatym. Spodnia spódniczka nad obrębem miała plisę popielatą.

W krynolinach teraźniejszych znaczna zaszła zmiana. W górze zupełnie są obcisłe, rozszerzone tylko u dołu. Nie naszywają ich tak jak dawniéj do koła stalkami, lecz przez całą spódniczkę dają tylko trzy pręciki stalowe przeciągnięte w górę do boków. Przód u nich spięty na guziki, u dołu nie ma wcale obręczy, boki ku przodowi lekko nafałdowane.

W kapeluszach dotąd nie pojawiła się żadna stanowcza zmiana. Robią je na rozmaite fasony, katalanki, *Lamballe*, fanszoniki i t. d. Ubierają po większéj części winogronami lub innemi jagodami leśnemi, z liściem szarym. Okrągłe kapelusiki najmodniejsze w tym roku są małe z rondkiem równym, zwane *chapeau marins*. Robią je najczęściéj z gładkiéj ceraty czarnéj, przepasują wstążką lub aksamitką czarną, z długiemi z tyłu końcami. Kapelusiki te wyborne na wieś lub do podróży.

Paletoty *Peplum* spięte z przodu na guziki roztwarte po bokach, z przedłużonemi z obu stron zębami coraz się bardziéj upowszechniają. Robią je z tego samego jak suknia materjału, lub też kolorowe

kaszmirowe, naszywane w rzucik pacioreczkami z lawy. Niektóre znów naszywają w deseń czarnym sznurkiem. Widzieliśmy takie *Peplum* jasno szafirowe, naszyte sznurkiem, przerabianym paciorkami, z frendzelką z sieczki czarnéj. Kwasty po rogach mięszane były z sieczką. Rękawy do tego rozwarte i szerokie, wycięte były w zęby.

Fryzka z podwójnéj walansienki lub z koronki kluny, podwiązana czarną aksamitką lub kolorową wstążeczką, zakończoną na kokardkę stanowi dziś najmodniejszy kołnierzyk. Do mniejszego ubrania noszą fryzkę batystową z brzeżkiem z walansienki. Mankietki do tego powinny być również zakończone falbaneczką odpowiednią u ręki.

S. D.

Opis ryciny.

Figura 1. Spódniczka z niebieskiéj materji naszyta w grecki deseń wstawką kluni czarną, z białem. Na wierzch suknia popielata jedwabna podpięta z każdéj strony trzema szarfami niebieskiemi z koronką białą z czarnem po brzegach. Stanik pod szyję do paska. Rękawy z wyłogami *Louis XV*, ubrane materją i koroneczką. Pasek niebieski. U dołu sukni sznur popielaty z niebieskiem. Kołnierzyk z koronki kluni, takież mankietki u rękawów. Ubranie głowy ze wstążki i blondynki białéj z czarną.

Figura 2. Suknia fularowa biała w paski szamoa. Spódnica gładka. Stanik wycięty, przybrany wyłożeniem w zęby z czarną koroneczką u brzegu. Takaż sama baskina spada od paska. Szmizetka pod spód muszlinowa z długiemi rękawami. Rękawiczki kozłowe.

ROZMAITOŚCI.

PTAKI.

(Dalszy ciąg).

Szczygieł dopóki nie znajdzie towarzyszki, nadzwyczaj jest zuchwały i burzliwy; bije się bezustanku, rozrzuca gniazda, tłucze jajka, ale skoro znajdzie odpowiednią sobie towarzyszkę, zajmuje się odtąd domowemi sprawami i nie wchodzi już nikomu w drogę. Nigdy nie bije się z samiczką do któréj bardzo przywiązany. Sadowi się zwykle na noc, na najwyższym pręciku w klatce i bije się z innemi ptakami, dopóki mu tego miejsca nie ustąpią.

Nie należy brać do klatki szczygłów, dopóki nie będą zupełnie wypierzone i odchowane. Żyją one bardzo długo w klatce, niekiedy nawet do dwudziestu pięciu lat zdrowe i krzepkie, aż do późnéj starości.

(d. c. n.)

Od Redakcji

PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO.

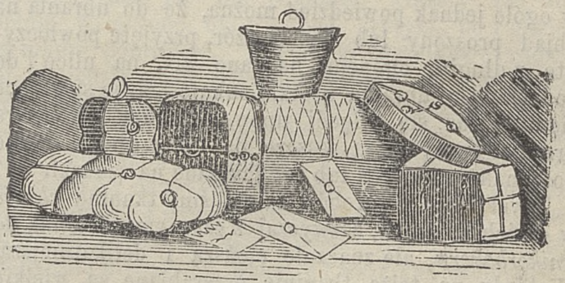
Przegląd Tygodniowy wychodzić będzie w *kwartale czwartym* r. b. w tymże samym składzie i formacie.

Z utworów powieściowych oryginalnych drukować będziemy: *Tomasza Teodora Jeża* (Mąż z rezerwy) humoreska która ukaże się niebawem. *Zbigniewa* (autora Pamiętników Muchy i Staréj Panny) *Między niebem a ziemią. Szczeble do karjery* przez *A. A. Korrepetytor* przez *Wołody Skibę*. Redakcja otrzymała też pomoc w tym kierunku od *J. I. Kraszewskiego* i *Zacharyasiewicza* i innych utalentowanych powieściopisarzy naszych.

Kronika krajowa rozszerzoną została wiadomościami szczegółowemi o książkach nutach i obrazach polskich oraz Przeglądem prassy krajowéj. Sprawozdania teatralne umieszczane będą co drugi numer. Przeglądy literatury polskiéj, francuzkiéj, niemieckiéj i innych europejskich pismiennictw, wypracowane przez oddzielnych recenzentów drukowane będą na przemian w każdym numerze. Gawędy popularno naukowe w różnych przedmiotach raz na miesiąc.

Cena przeglądu pozostaje taż sama:

w Warszawie kwartalnie 75 kop. (5 złp.)
„ miesięcznie 25 „ (1 zł. gr. 20).
Na prowincji bez kopert rs. 1 (6 złp. gr. 20).
„ w kopertach rs. 1 kop. 50 (10 złp.)



Pani Kosiel. Łokieć białéj flanelki w paski niebieskie 2 i 1/4 łokcia szerokiéj, kosztuje rs. 3 kop. 30. Łokieć jedwabnego rypsu na pokrycie mebli rs. 2 kop. 70.

Pani Julji Wo. Przesłalibyśmy próbki jesiennych wyrobów na suknię, lecz nie mamy dokładnego adresu.

Pani Antoninie Ru. Żądaną formę wyprawiliśmy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



Compte Calix — A. Carrache

Moine, et Falconer, imp. r. St Louis en l'Ile. 90. Paris

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 37 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 3 (15) Września 1866 r.

OBRAZKI
Z PODRÓŻY DO AUSTRALJI

PRZEZ

Wawrzeńca K.

(Dalszy ciąg.)

Wyprawa ruszyła z Anglji w Maju roku 1787, a w osiem miesięcy to jest w Styczniu następnego roku zatrzymała się przy brzegach Australji. Gubernator trzema czółnami wypuścił się ku lądowi w celu zwiedzenia brzegów ciągnących się ku północy, dla wybrania stosownego miejsca do wylądowania. Wszędzie jednak widział tylko jałową, dziką pustynię zdala czerniejącą się lasami, a od morza napiętrzoną urwiskami skał nagich, pełną przepaści niebezpiecznych. W miejscach cokolwiek równiejszych przewijały się gromady miejscowych mieszkańców, nagich, brzydkich, chudych jak szkielety i jak one niekształtnych, z włosami nasrożonemi niby kudły u niedźwiedzia lub lwie grzywy, którzy o ile tylko mogli trzymając się brzegu, biegli ciągle w kierunku płynących łodzi, wydając przerażające okrzyki i wywijając długiemi kijami i maczugami.

Płynący przedrzeźniając te dzikie wycia i dla wzbudzenia dla siebie przestrachu i poszanowania, przesyłając czasami dziczyznie pociski z ręcznéj broni, posuwali się daléj wypatrując niecierpliwie miejscowości, odpowiedniéj celowi wyprawy. Po godzinnéj podróży, nagle zobaczyli ścianę niezmiernie skalistą, stromą i wysoką jak olbrzymi mur ręką cyklopów postawiony. W środku niego znajdowało się miejsce zupełnie wolne, otworem podobne do bramy przez którą wpadały morskie bałwany. Czółna skierowały się zaraz w to cudowne przejście i z wielką radością osady, po kilku poruszeniach wioseł, znalazły się na spokojnych wodach ogromnego jeziora, rozciągającego się w przestrzeni okiem nie dostrzeżonéj, otoczonego brzegami z prześliczną roślinnością. Na gładkiéj wód powierzchni, wznosiły się małe wysepki pokryte gąszczem leśnym, pomiędzy któremi pływały stada czarnych łabędzi, kaczek, nurów, gęsi i rozlicznego innego wodnego ptastwa, na widok nieznanych im gości, zrywające się z krzykiem w powietrze lub kryjące się w zarośla. Trzymając się zawsze brzegu czółna dotarły do przylądka wsuniętego w jezioro, środkiem którego płynął strumień słodkiéj wody z gór pobliskich biorący początek. Piękniejszego i wygodniejszego miejsca na założenie osady, nie podobna było znaleść, gubernator więc obrał je i tu postanowił wylądować.

W dniu zatem 26 Stycznia 1788 roku, wyprawa cała złożona z jednéj fregaty i sześciu okrętów transportowych, zarzuciły kotwicę w odkrytéj zatoce i nazwały ją Sydney na cześć jednego z lordów admiralicji. Na znak zaś zajęcia ziemi w posiadanie Anglji cała załoga ustawiła się w szeregi, wywieszono narodowe kolory i po przemówieniu gubernatora, przy głośnych okrzykach dano strzały z ręcznéj broni, którym zawtorowały armaty stojących w przystani okrętów. Później rozbito namioty dla gubernatora i szeregowych, bydło, konie, owce, kozy, trzodę chlewną, króliki, indyki, gęsi, kaczki, kury przywiezione z sobą pomieszczono w oddzielnych przegrodach, a skazanych na deportacją rozrzucono po całym nadbrzeżnym lesie, zostawiając każdemu wolną wolę wynalezienia sobie mieszkania. Spróchniałe też drzewa i szałasy z gałęzi ułożone, były najpierwszemi kamienicami Europejczyków, ale naprzykrzyły się w prędce nawet nie lubiącym pracy przestępcom i zmusiły ich do obmyślenia wygodniejszego pomieszczenia. Pod dozorem więc majtków znających się na ciesielstwie i mularstwie zaczęto ścinać drzewo, wyrabiać cegłę i stawiać domy nie wykwintne wprawdzie ale wygodne a w każdym razie chroniące od letniego upału. Zima bowiem u nas, jest w Australji porą najgorętszego lata, a w Maju zaczyna się tam dopiero zima czyli deszcz ciągły bez przerwy kilka tygodni trwający. Do deszczów było wprawdzie daleko, ale upał gdy niema gdzie głowy schronić, zwłaszcza przy obawie napaści dzikich ludzi albo zwierza, brak dachu szczególniéj dla Europejczyka robi bardzo nieznośnym. Przedewszystkiem więc zajęto się zastawianiem i karczunkiem obranéj miejscowości, zajętéj gąszczem leśnym, tak zwartym i przeplecionym różnorodnemi krzewami, że bez rąbania siekierą i jednego kroku nie można w nim było postąpić.

Praca ta była niezmiernie męczącą, drzewo zaś tak twarde, że najsilniejsza ręka uzbrojona ostrą siekierą upadała z utrudzenia. Przytem na domiar złego wydobyty grunt okazał się czystym prawie piaskiem, mało przydatnym do jakiejkolwiek uprawy rolnéj, nie znaleziono zaś nigdzie najmniejszéj rośliny zdatnéj do pożywienia, ani owocu, jagody, lub korzenia, a nawet ze zwierząt oprócz wodnego ptastwa, tylko wykryto kangura, oposuma i kazuara. Przyszłość więc osady przedstawiała się nie bardzo ponętnie, badanie zaś wnętrza kraju było i trudnem i niebezpiecznem. Z jednéj bowiem strony rozciągało się morze zupełnie nie uczęszczane, z drugiéj step pusty ogrodzony lasem z którego ciągle wydobywały się krzyki dzikich mie-

szkańców, okazujących bardzo nieprzyjazne dla osadników usposobienie. Ilu zaś ich było i o ile mogli być niebezpiecznemi gdyby chciano posunąć się w te tajemnicze obszary, nikt nie umiał stanowczo oznaczyć. Dwustu wprawdzie szeregowych dobrze uzbrojonych i wymustrowanych, mogło bez obawy wyruszyć w głąb lądu, ale co zrobić z blisko tysiącem deportowanych nie posiadających najmniéjszéj broni odpornéj, a témbardziéj zaczepnéj? Postanowiono więc pozostać w miejscu, radzić jak będzie można i jednocześnie ogłoszono patent królewski, ustanawiający w kolonji prawodawstwo cywilne i kryminalne, według którego wola gubernatora była wszystkiem. On to miał prawo zwoływać sądy, mianować członków jego, usuwać niezdatnych, zmieniać wyroki, naznaczać kary, rozdawać grunta i rozporządzać robotami bez żadnego ograniczenia. Przewidując zaś przyszły rozwój osady, dozwolono mu nadto regulować handel i postanawiać monopola. Był więc panem samowładnym, chociaż nie posiadał najmniejszych wiadomości naukowych, i nic nie znał innego tylko marynarstwo i karność często do okrucieństwa posuniętą. Długo też pomiędzy osadnikami nie było widać żadnego rozwoju przemysłowego, żywiono się po większéj części ze zdobyczy myśliwskich na oposumy i kazuary, inne zaś artykuły żywności przywożono z Anglji, chociaż ziemię w nader wielkich przestrzeniach stanowiących piękny folwark, rozdawano osadnikom darmo i zaopatrywano ich w narzędzia potrzebne do uprawy.

Wzrost też miasta Sidney posuwał się nader leniwo, ale stosunek z Europą dosyć częsty przez okręta przybywające z różnemi artykułami dla osady, oswajając ze zdobyczą nowéj nieznanéj ziemi, skłonił wielu do szukania w niéj bytu i stał się powodem licznéj emigracji z lądu staréj Europy. Tym sposobem Australja zaczęła się zaludniać, ale tylko przy pobrzeżach morskich sam zaś jéj środek dotąd niezbadany zamieszkują jeszcze dzikie ludy, nienawidzące Europejczyków i starannie czuwające, aby żadna obca stopa nie dotknęła się obszarów przez nich dotąd zajmowanych. Z tego powodu kilka wypraw naukowych w celu zbadania Australji przedsiębranych zginęły bez śladu i wieści, później dopiero dowiedziano się od dzikich, mających już stosunki z Europejczykami, że zostali wszyscy prawie co do jednego wymordowani. Dzicy bowiem w początkach trzymający się uporczywie zdala od osady, powodowani ciekawością, przybliżyli się do niéj, zawiązali znajomość z kolonistami, i za sobą pociągnęli innych. Ztąd utworzyły się bandy dzikich włóczące się dziś w przestrzeni zajętéj przez nowych przybyszów, łaknące wódki i tytoniu, odłączone zupełnie od swych spółbraci w głębi Australji przebywających którzy ich nienawidzą i przy pierwszéj lepszéj sposobności zabijają bez żadnéj litości. Dla tego dziki taki chętnie trzymający się nowych osad, za żadną w świecie nagrodę nie zapuści się w głębie dalszych lasów, jeżeli zaś skłoniony obietnicą tytoniu i wódki, jako przewodnik przyłączy się do jakiéj wyprawy, przy pierwszem spotkaniu z dzikszym od siebie ziomkiem, drży jak liść i potem korzysta z pierwszéj sposobności do ucieczki.

Dziś Australja posiada blizko dwa miljony ludności, złożonéj z narodowości całego świata, język angielski jest powszechnym i urzędowym i rozwijając się zupełnie tak samo jak Ameryka, z czasem może przeistoczy się w Stany Zjednoczone i matce swéj Anglji stanie się sękiem niepodobym do rozbicia. Dawna bowiem opieka udzielana przez rząd pierwszym osadnikom, zupełnie usuniętą została, i nie tylko że nowych przybyszów rząd żadną pomocą nie obdarza, ale przeciwnie wyzyskuje z nich znaczne korzyści, przedażą drogą lasów obranych przez nich na własność w celu kolonizacyjnym. Że zaś przybysze ci są po większéj części ludźmi biednemi, często po zapłaceniu ceny zajętego gruntu, nie posiadającemi już żadnych zasobów tyle potrzebnych do prowadzenia gospodarstwa, los ich więc jest bardzo smutny i zmusza często do porzucania na czas jakiś gospodarstwa w celu szukania zarobku w kopalniach złota. Odkrycie kruszcu tego stało się najsilniejszym popędem dla emigracji całego świata i odtąd datuje się coraz większe zaludnianie Australji.

Obecnie Australja dzieli się na cztery prowincje: Nową Walją, Wiktorją, Adalajdę i Swan Riwer. Pierwsze dwie posiadają w sobie bogate kopalnie złota i tam też rolnictwo mniéj jest rozwinięte jak w Adelajdzie, która pod względem żyzności gruntu przewyższa wszystkie kraje najbardziéj ucywilizowane. Przenicę sieją wprost na surowym gruncie, bez żadnego użyznienia go i zbierają najmniéj dwadzieścia ziarn plonu a czasami i trzydzieści. Przytem gatunek jéj przewyższa wszystkie inne w wartości, i dla tego w roku 1851 na wystawie londyńskiéj, przyznano jéj pierwszą nagrodę. Klimat posiada taki sam jak cała Australja, w lecie miewa czasami gorąco nieznośne, burze okropne, a zimę deszczową. Nieposiadając przedtem żadnéj roślinności przydatnéj dla delikatnego podniebienia Europejczyków, dziś produkuje pomarańcze, cytryny, figi, daktyle, winogrona, jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie, czereśnie, orzechy, maliny, truskawki, melony, arbuzy i różne warzywo, tak piękne, smaczne i dorodne, że z podobnemi żaden kraj pochwalić się nie może. Przytem po osadach znajduje się prześliczne bydło, stada owiec, konie, kozy, różne gatunki drobiu, a wszystko rosłe, piękne, mnożne, wypłacające się sowitą korzyścią, za starania choćby najmniejsze dla siebie poświęcone. O ziarnie zbożowem nic nie mówimy, ale mają go we wszelkich rodzajach i gatunku wyborowym, jakiego zupełnie nie zna Europa. Słowem jest to kraj wielkiéj przyszłości, zdatny do produkowania wszystkiego, wprawdzie pobrzeże nadmorskie nie bardzo dla przybysza przedstawia się gościnnie, jak to nawet przytrafiło się pierwszéj osadzie angielskiej ze zbrodniarzy złożonéj, ale im daléj osady w głąb się zapuszczają, tym znajdują bogatszą ziemię niezmiernie przydatną do uprawy rolniczéj.

Dziś Australja roi się dwumiljonową ludnością, w przestrzeni jednak tak wielkiéj jak cała Europa, jest to prawie cyfrą nic nie znaczącą, dlatego wszystko w niéj jak przemysł i handel a nawet rolnictwo są słabo rozwinięte. Robotnik niezmiernie drogi, a nawet trudny do znalezienia, woli szukać złota jak przyjmować służbę i tracić tyle każdemu drogą swobodę. Produkcja zatem zboża nigdy nieodpowiada miejscowéj potrzebie, i zwykle pszenicę przywożą z przylądka Dobréj Nadziei, z Chili lub ze Stanów Zjednoczonych, któréj przywóz jeżeli czasem niedopisze, to mąka w Australji przychodzi do niesłychanéj

ceny, do złotych czterech za funt. W podobnéj cenie są i inne produkta, naprzykład koń zdatny do pociągu kosztuje dukatów 120, wóz 80, krowa 40, kapłon lub kura 2, i t. p.

Oprócz fabryki świec i mydła, innych fabryk żadnych Australja nie posiada, wszystko zatem sprowadza z Anglji lub z Ameryki, która nadzwyczaj jest niezadowoloną, że musi opłacać cło wchodowe dosyć znaczne, gdy wyroby z fabryk angielskich są zupełnie z niego zwolnione. Monopol ten bardzo szkodliwy dla mieszkańców, w połączeniu z opłatą od górników i osadników za zajęte przez nich przestrzenie, znaczne Anglji przynosi korzyści, które w całości wywożone ani w jednym szelingu uie są obracane na korzyść miejscowości. To naturalnie wyradza się w niechęć, czekającą tylko sposobności, do zupełnego wyrwania Australji z opieki Anglji do czego Ameryka bardzo chętnie rękę przyłoży. Podobnego rodzaju ruchy, w coraz silniejszéj objawiają się formie, dlatego na utratę Australji Anglja zupełnie przygotowana, do utworzenia samorządu żadnego nie stawia oporu, a nawet chętnie skłania się, aby tylko główna opieka przy niéj pozostawioną została.

Czwarta prowincja Swan Riwer niedostępna lądem najmniéj zamieszkałą jest przez Europejczyków i obecnie uważana jest jako kolonia karna, gdyż deportowanych za przestępstwa, trzy pierwsze nie chcą przyjmować. Pierwsi bowiem osadnicy już tylko żyją w swoich potomkach, późniejsi znalazłszy Australją w warunkach korzystnych dla przemysłu i rolnictwa, wzięli się do pracy i wielu z nich przyszło do wielkiéj zamożności, przemieniając się w bardzo szanownych i porządnych obywateli. Zaludnianie więc dalsze wyrzutkami społeczności angielskiéj nie mogło być cierpiane, i tylko zostawiono wszelką swobodę dla emigrantów, którzy się tu zbiegają ze wszystkich stron świata.

III

MELBOURNE STOLICA WIKTORJI.

W miarę zbliżania się do Melbourne, krajobraz staje się ładniejszym, coraz więcéj pozbywając się pierwiastkowéj swéj dziczyzny. Na miejscu wytrzebionych lasów, pokazują się pola obsiane zbożem, domy i zabudowania wiejskie wystawione porządnie z białemi kominami, otoczone przytem ogródkami ustrojonemi w piękne kwiaty i krzewy. Bliżéj miasta tuż przy drodze znajdują się hotele z ogromnemi na angielski sposób napisami a przebywszy rzekę Yarayara po obszernym murowanym moście, wjeżdża się do miasta z rokiem każdym rozszerzającego się tak szybko, że po kilkuletniéj w niem niebytności, nikt trafić nie może do miejsc przedtem dobrze mu znanych.

Ulice szerokie krzyżują się w rozmaitych kierunkach, porządne, ładne domy ale tylko jedno piętrowe, stoją tuż przy sobie, doły po większéj części zajmują sklepy, które wyrastają jak rydze po deszczu, napełniając się różnorodnym towarem. Po ulicach przeciągają wozy zaprzężone końmi lub wołmi, zwożąc towary z okrętów, materjały budowlane, albo różne sprzęty i bagaże, śpieszących do kopalni. Za temi postępują kompanje górników w koszulach w paski niebieskie z wyłożonemi kołnierzami bez żadnego obwiązania, na głowach mają kapelusze nizkie z dużemi brzegami, a dolne ubranie ze skóry angielskiéj, zakończone ciżmami podkutemi w palcach i w piętach podkówkami. Są to wszystko nowicjusze, zwykle bardzo ubodzy ale bogaci nadzieją przyszłéj zamożności. Ci zaś którym zarobek w kopalniach dopisał, z miną bundziuczną przechadzają się po ulicach zatrzymując się przy wystawach sklepowych błyszczących różnemi towarami Londynu i Paryża. Złoto widocznie cięży im w kieszeniach, choć ubiór górniczy zniszczony i poszarpany, przedstawia raczéj ostatniego hultaja, jak człowieka pragnącego użyć zarobku ciężko zdobytego. Środkiem ulic z trajkotem przesuwają się kabrjolety i ekwipaże eleganckie, z paniami wystrojonemi jak pierwsze paryzkie modnisie. Są to wszystko miejscowe osoby, córki lub wnuczki deportowanych niegdyś, którzy handlem przyszedłszy do zamożności zostawili dzieciom nazwisko niezaszczytne, ale pełną szkatułę, dozwalającą im zbytkowne prowadzić życie. Przeszłość bowiem człowieka ginie tu jak kamień rzucony w morze. Dochodzenie jéj zanadto byłoby dla wielu niewygodne, nikt nie wypytuje się co kto robił, tylko co robi i czy ma pieniądze. Posiadający je, zdobywa zarazem patent na porządnego obywatela i rzeczywiście staje się nim bardzo często, tak dalece, że może nawet przynosić zaszczyt każdéj społeczności. Niektórzy z nich na prawdziwie miljonowych wychodzą panów, i niegdyś rabusie publiczni, późniéj kajdaniarze i kryminaliści, dziś posiadają prześliczne pomieszkania z wielkim urządzone zbytkiem, wspaniałe ogrody, kucharzy, lokai, ekwipaże, i w obszernych salonach przyjmują najwykwintniejsze towarzystwo, złożone z bogatych setlerów czyli właścicieli gruntowych, urzędników, oficerów a nawet i samego gubernatora.

Ulice dosyć ludne ciągle napełnione są gwarem którzy bez żadnego zakłopotania, witają się głośno i jeszcze głośniéj prowadzą z sobą rozmowę. Są to najczęściéj znajomi, przypadkiem zdybający się na ulicy, zwykle z dobremi minami, bo żaden z nich bez złota nie wracałby do Melbourne. Czasem usłyszyć można wędrowną muzykę, albo pozytywkę dudlącą dla igrającéj małpy. Tu się wznoszą okrzyki kramarzy pieszych wyliczających szereg posiadanych towarów, tam chłopak drze się wymieniając tytuł dziennika przedawanego. W innych miejscach wznoszą się budki z marjonetkami, z panoramą, z woskowemi figurami, słowem wszędzie rozwija się gwarne niezmiernie życie, podobne do Paryża i Londynu, tym dziwniejsze dla przybylca, że stanąwszy na placu w części miasta zwany Emerald-Hill pagórek szmaragdowy, w dalekiéj przestrzeni widać pustynię i czarną ścianę lasu, którą wyobraźnia zaludnia srogiemi pokoleniami dzikich ludzi, tak w niczem niepodobnemi do Europejczyków.

Podróżni nasi których poznaliśmy na okręcie, po wysadzeniu na ląd rozsypali się w różne strony. Biedniejsi a tych była większa liczba, porozbijali namioty tuż zaraz nad rzeką i w gronach niewielkich zasiedli do wspólnego posiłku własną przyrządzonego ręką. Zasobniejsi umieścili się w hotelach, do tych należeli Jakób i Leuora Blenday, poprowadzeni przez usłużnego im zawsze francuza Latour.

Wypadek zemdlenia jakiemu uległa młoda małżonka malarza, w ostatnim dniu podróży, skutkiem dzi-

wnego i niewytłumaczonego przestrachu, pozostawił ślady niestarte na jéj miłych i pełnych pogody rysach. Od téj chwili tak się stała drażliwą, tak lękliwą i bojącą się, że ani na chwilę sama w domu nie chciała pozostać. Zmianą tą niezmiernie martwił się Jakób, Latour niepokoił i niecierpliwił co mu psuło humor zwykle w wybornem znajdujący się stanie. Że jednak sami nie odsłaniali tajemnicy, grzeczny Francuz, nie śmiał badaniem stać się natrętnym. Raz tylko zobaczywszy ich smutniejszemi niż zwykle, sądząc, że może stan zdrowia Lenory tak męża niepokoi, poradził im udanie się o pomoc do doktora.

— Pomoc taka — rzekł — płaci się tu drogo i to czystem złotem, po które dopierośmy przyjechali. Ale mam ja tu ziomka wielce mi obowiązanego, za rozszerzenie praktyki, pomiędzy górnikami i majtkami, to radę udzieli wam darmo czyli nie weźmie pieniędzy, choćbyście mu je gwałtem w rękę pchali. Wyborny to lekarz, prosty w środkach niezmiernie, nie używa nic innego w leczeniach, jak tylko emetyku, jalapy, baniek, wody zimnéj i krwi puszczania. Ale za to pacjentów swych najbardziéj w bójkach pobitych, w tydzień stawia na nogi. Każdego obejrzawszy i wypytawszy klepie po ramieniu, i mówi: — „za tydzień będziesz zdrów jak ryba, jak więc przeciwnikowi oddasz z nasypką coś dziś oberwał, mnie go nastręcz, toj ja go tak samo na ciebie wyleczę.“ I święcie dotrzymuje słowa, a i chory najczęściéj zobowiązania nie zapomina.

Mimo tak zachęcająco przedstawionéj rady, Jakób oświadczył, że oboje są zupełnie zdrowi, lekarza więc niepotrzebują, tym bardziéj, że mu nie mogliby się odwdzięczyć przysposabianiem nowych pacjentów, jak to robią górnicy i majtkowie.

— Zresztą — rzekł Jakób — żona moja zdrowa jak ryba, stan zaś jéj taki drażliwy, jest wypływem wprost przywidzenia którego żadnym sposobem nie mogę jéj wytłumaczyć. Wyobraź sobie mój drogi, że gwałtem chce wmówić we mnie i w siebie, iż na okręcie spostrzegła człowieka, o którym bez zadrżenia nie może nawet pomyślić. Wszakże całą naszą osadę okrętową znaliśmy dokładnie, nikt nie mógł należyć do niéj, żeby w kilko miesięcznéj podróży, nie był znany wszystkim. Kryć się także jak szczur nie zdołałby, bo i te czasami z jam swoich wyłażą, wreszcie całą listę podróżnych u kapitana przepatrzyłem i porównałem ją z naszemi towarzyszami, a jednak nic nie znalazłem takiego coby jakiekolwiek podejrzenie obudzało. Przywidzenie więc i nic więcéj, podtrzymywane zakorzenionym wstrętem, często instynktownym tylko, niewytłumaczonym, a jednak tyle silnym, że mu się oprzeć niepodobna.

— Rozumiem — odrzekł Latour poważnie — w Paryżu doznawałem podobnego wstrętu do mego wuja, który odmówił pożyczki w chwili, kiedy jéj najbardziéj potrzebowałem. Później wstrętnym stał się dla mnie gospodarz u którego mieszkałem, za wyrzucenie z nieopłaconego mieszkania: — następnie restaurator, krawiec, szewc, praczka za odmówienie kredytu, a w końcu Paryż cały gdy brakło pieniędzy, tak że aż z niego uciekłem do Australji. O! wstręt taki rozumiem doskonale i nie dziwię mu się zupełnie, pod tym względem doświadczeńszego odemnie nie znajdziesz........

— Szaławiła jesteś — przerwał Jakób — każdą rzecz traktujesz jak prawdziwy Francuz, lekko i komicznie. Tu zupełnie inne jest położenie rzeczy........

— Inne? nie wiedziałem.

— Z moralnych wypływające pobudek......

— Z moralnych? — No — no! — to prawdziwa dla mnie nowina. Dotąd sądziłem że wstręt można czuć tylko do wierzycieli.

— Jeżeli nie porzucisz żartów, nie powiem ani słowa więcéj. Tu poważniejsza sprawa, wywierająca przeważny wpływ nawet na moje życie.

— Bój się Boga! zaciekawiasz mnie niewymownie. W nic podobnego dotąd nie byłem jeszcze wtajemniczony, słucham więc z powagą godną tak ważnego przedmiotu.

Jakób zamyślił się i podając cygaro przyjacielowi, miał już zrobić wyznanie, gdy od drugiego pokoiku stanowiącego gabinet żony Jakóba, otworzyły się nagle drzwi i wybiegła z nich pani Dorbay z wyrazem największego na twarzy przestrachu. Blada, drżąca rzuciła się na piersi swego męża i załamawszy ręce zaledwie zdołała wyrzec:

— Widziałam go....... widziałam....... mój Jakóbie uciekajmy, uciekajmy....... on nas zabije....... o ja nieszczęśliwa!

— Gdzieś go widziała? moja droga uspokój się......

— Tam na przeciwko, w téj oficynie na piętrze, stał właśnie w oknie kiedy przypadkiem zwróciłam tam oczy. Poznałam go natychmiast...... patrzył na mnie tym przenikającym wzrokiem....... którego nie mogłam znosić w Londynie, od którego uciekałam zawsze, tylko teraz był jeszcze okropniejszym, jeszcze przenikliwszym...... że sądziłam iż mnie nim na miejscu zabije.

— To szczególna — z trwogą szepnął Jakób — czyżby przywidzenie miało się powtórzyć, albo być rzeczywistością?

— Nie mój Jakóbie, to nie przywidzenie — odrzekła pani Dorbaj cokolwiek uspokojona — jak widzisz jestem zdrowa, o nim zupełnie nie myślałam, zaręczam cię że jest w Melbourne, że nas już śledzi a nie długo zacznie ścigać. Uciekajmy mój drogi, przewiduję nieszczęście, bo niepodobna przypuścić, aby ktoś znalazł się tak do niego podobny.

— Wszystko to dziwne i niepojęte dla mnie — odrzekł Jakób zamyślony — trzeba to będzie zbadać i koniecznie wykryć, bo w takiéj niepewności żyć nie podobna. Pójdę sam i przekonam się kto mieszka w tem pomieszkaniu.....

— Na miłość Bozką, nie rób tego — zawołała z największą trwogą pani Dorbay — zabije cię jestem pewna......

— Przecież mam rewolwery i sztylet.....

— Nie znasz go jeszcze mój Jakóbie, jeżeli sądzisz że zdołasz złości się jego obronić. Nic nam nie pozostaje tylko uciekać i to w największéj tajemnicy.

— To ja pójdę — przerwał Latour — do mnie nie może mieć żadnéj nienawiści, a przynajmniéj przekonam się kto mieszka i rozmówię się z nim krótko węzłowato. Jeżeli mi ubliży, wyzwę i zabiję......

(d. c. n.)